



Marek Raduli z Małgorzatą Ostrowską...



...z Anną Wyszkoniu...

...i z Maciejem Maleńczukiem
Fot. Ewelina Jaworska

dzisiaj młody chłopak dostał możliwość gry z Jankiem Borysewiczem. „Krzaku” (Jacek Krzaklewski — red.), z którym rzeczywiście zagraliśmy wiele pięknych dźwięków, też przyszedł później, przed nim był Leszek Matecki, dziś znany muzyk sesyjny.

— **Po Bandzie i Wandzie terminował pan u boku Tadeusza Nalepy. Cenne doświadczenie?**

— Bardzo cenne, to była zjawiskowa postać, ale jeszcze wcześniej miałem przyjemność pomuzykować ze Zbyszkiem Wodeckim, Jackiem Skubikowskim, Majką Jeżowską i Krzyskiem Krawczykiem, u którego byłem przez dwa lata, do czasu jego wypadku, szefem zespołu. To ludzie, od których wiele się nauczyłem. Szczególnie Krzys Krawczyk, który wtedy wrócił z USA, naładowany emocjami i profesjonalnym podejściem do sztuki estradowej — zawodowiec. Robiliśmy niezmiernie dobry show. W Ameryce takiego Franka Sinatra darzy się szacunkiem. A u nas? „Krawczyk? Ten >Parostatek<? Panie, daj pan spokój!”. Nauczyłem się od niego bardzo wielu rzeczy, jeśli chodzi o podejście do sceny: o przygotowanie, warsztat, profesjonalizm, punktualność...

— **A jak było u Nalepy?**

— To był inny świat. Po Krawczyku zacząłem przebijać się w stronę swoich indywidualnych preferencji muzycznych — w stronę jazzu. Dołączyłem do zespołu Kciuk Surzyn Band. To było trio, więc ja byłem tam Band (śmiech). Coś w tym jest, bo oni lubili się sprzeczać, a ja starałem się to muzycznie kleić. Dostaliśmy propozycję grania jako sekcja Tadeusza Nalepy. To był wyjątkowy muzyk i wyjątkowo wrażliwy muzycznie. Zawsze

terminowali u niego świetni gitarzyści: i Janek Borysewicz, i Jurek Styczyński, i Darek Kozakiewicz... Dziś tworzymy taką elitarną grupę gitarzystów, którzy mieli okazję z nim grać. Dla Tadeusza to był trudny czas, już wtedy był dializowany... Bardzo się lubiliśmy, otrzymałem od niego dużo „dobrego prądu” i takich oj-

— Wtedy już niekoniecznie, ale to był czas, kiedy rzeczywiście nie myślałem o doraźnej sytuacji, tylko o rockandrollowym życiu. Może w tej książce zabrzmiało to za ostro (Marek Raduli wspominał, że to był najbardziej alkoholowy okres w jego karierze — przyp. red), ale nie mam się czego wstydić. Wtedy grałem jak rockan-

jestem jazzmanem, nie byłem i nigdy nie będę. Z bardzo wielu powodów nie poczuwam się do tego miana. To jest dziedzina, której trzeba poświęcić się bezwzględnie, a mnie nie interesuje specjalizacja.

— **Ale jednak, mimo że ciągnęła się za panem latka rockowca, ten dość hermetyczny świat pana zaakceptował,**

Od 10, może 15 lat jestem w świecie jazzu obecny i doceniany, udało mi się przekonać środowisko do siebie, choć nie było łatwo — obecność gitarzysty z Budki na festiwalach jazzowych traktowano jako świętokradztwo... Całą karierę wędruję przez te wszystkie gatunki muzyczne i spotyka się to z potępieniem różnych środowisk... Gdy z młodych lat grałem w kilku zespołach jazzujących i zdecydowałem się na Bandę i Wandę — moi koledzy byli oburzeni, że idę grać rocka. Takie samo oburzenie towarzyszyło mi, gdy opuszczałem Bandę, by grać z Krawczykiem (bo to „pop, czyli kicz i dno”). Gdy zrezygnowałem z zarabiania pieniędzy na estradzie na rzecz amatorskich kwartetów jazzowych, towarzyszyło mi zdziwienie środo-

wiska i pukanie się w głowę... Gdy od Nalepy szedłem do Bajmu — święte zgorszenie i odium zdrady bluesa. Gdy z Bajmu przechodziłem do Budki — „totalny upadek”. Teraz, gdy wreszcie środowisko jazzowe się pogodziło, że jest ten samodzielny Raduli, że fajnie improwizuje i „może siadać z nami przy jednym stoliku”, zostałem szefem zespołu Anny Wyszkoniu (była wokalistka zespołu Łzy — red.). Znowu poruszenie, choć może nieco mniejsze niż kiedyś. Po tych wszystkich latach zmian nikt już się tak bardzo nie dziwi. I to jest chyba największa ulga.

— **Może niektórzy zrozumieją, że ceni pan muzyczną wolność.**

— Uprawiam wolny zawód — wzięłem to sobie do serca.

” **Od Nalepy dostałem dużo „dobrego prądu” i takich ojcowskich rad w stylu: „nie kręć galkami, tylko graj!”, „myśl co robisz”. To wtedy przy nim uwierzyłem w swoje możliwości muzyczne.**

cowskich rad w stylu: „nie kręć galkami, tylko graj!”, „myśl co robisz”. To wtedy przy nim uwierzyłem w swoje możliwości muzyczne.

— **Po Nalepie przyszedł czas na Bajm, w swoim bardzo przebojowym okresie. To rzeczywiście było takie imprezowe szaleństwo, jak wspominał pan w biografii tego zespołu?**

— Wtedy chciałem grać szybko, zafascynował mnie świat gitary spod znaku Eddiego Van Halena. Warto tu wspomnieć, że jestem chyba pierwszym muzykiem w Polsce, który zarejestrował partię gitary tappingiem (widowiskowa technika gry na gitarze, polegająca na jednoczesnej grze dwoma rękami na gryfie red.), to było jeszcze w początkach Bandy i Wandy... Bajm szukał efektownego gitarzysty, a ja po Breakoucie byłem rozpoznawalnym muzykiem. Nagraliśmy płytę „Biała Armia”, która dobrze się sprzedała. Pamiętam, że dostałem za nią 200 dolarów...

— **Kilka lat wcześniej to był majątek...**

drollowiec i żyłem jak rockandrollowiec.

— **Dziś chyba jest spokojniej i grzeczniej, także jeśli chodzi o pana wygląd, który ulegał zmianie wraz ze stylem...**

Były kapelusze a la Steve Ray Vaughan, były sportowe gitary w stylu Vaia, wreszcie były długie włosy... Gdzie to wszystko się podziało?

— Rozumiem, że to pytanie retoryczne?

— **Nie, proszę o odpowiedź, tak łatwo nie będzie.**

— A gdzie długie włosy podziewają się w wieku pięćdziesięciu kilku lat? Zostały u fryzjera (śmiech). Za to zostały mi kowbojskie buty, które nadal bardzo chętnie noszę. — **A może jazzmanowi nie przystoi taka ekstrawagancja? Jest pan obecnie gitarzystą bardzo cenionym w środowisku jazzowym...**

— Nie jestem jazzmanem. Tworzę muzykę improwizowaną, grywam z jazzmanami, mam przyjemność ich znać i współpracować z Krzysztofem Ścierańskim, Zbigniewem Lewandowskim, Zbigniewem Jakubkiem i innymi, jednak nie

o czym świadczą choćby ciepłe słowa klasyka jazzu — Jana Ptaszyna Wróblewskiego. Nie traktowano pana jak pariasa?

— Wchodziłem do tego świata nie tylko z latką rockmana, ale też rockmana, który grał w najpopularniejszym polskim zespole popowym (śmiech).

O nim

Marek Raduli urodził się 21 czerwca 1959 roku w Kędzierzynie-Koźlu. Gitarzysta Bandy i Wandy, Bajmu i grupy Tadeusza Nalepy, najbardziej znany z występów z Budką Suflera, z którą przez 10 lat nagrał 8 płyt, w tym bestsellerową „Nic nie boli tak jak życie”. Po odejściu z Budki w 2003 roku zajął się muzyką jazzową, koncertując z zespołami Squad, Pi-eR-2, Colors, Laboratorium czy Kwartet Zbidniewa Jakubka. Od roku występuje także z Anną Wyszkoniu.



Marek Raduli (drugi z lewej) w pierwszym składzie zespołu Banda i Wanda, rok 1982. Fot. archiwum prywatne/raduli.info